

się wielokrotnie na najrozmaitszych spotkaniach i brał żywy udział we wszystkich dyskusjach. Stanowił dla nas swego rodzaju zagrożenie, podważał bowiem w wątpliwość nasz sposób myślenia, podważał naszą pewność w kwestii stosowanych metod pracy i sposobów gromadzenia materiału, niszczył naszą wygodę i nie pozwolił nam zasnąć, stawiał nam niewygodne pytania. Nie zawsze przyjmowaliśmy to chętnie, ale wiedzieliśmy wówczas, a o wiele wyraźniej widzimy to dzisiaj, że ogromnie wiele na tej Jego potrzebie kwestionowania wszelkiej pewności skorzystaliśmy. Była to inna forma realizowania Jego powołania filozofa.

Interesował się najnowszymi tendencjami w sztuce, zwłaszcza w dziedzinie plastyki i filmu, nie tracił z pola widzenia zachodzących szybko, niekiedy burzliwych i niełatwych do obserwowania i analizowania zmian. Nieraz zaskakiwał nas szerokością i głębokością wiedzy oraz przenikliwością refleksji. Zapamiętałem dokładniej Jego obszerną wypowiedź sprzed dwudziestu albo więcej lat na temat rozchodzenia się pod koniec XX wieku sztuki i piękna. Najważniejsze zjawiska artystyczne nie uchodziły Jego uwagi; nie ulegał nigdy charakterystycznej dla wieku starszego pokusie konserwatyzmu.

Nie odszedł od nas od razu, bywał w Instytucie, brał wciąż pewien udział w naszej pracy, zajmowało Go to, co się dzieje w uprawianych u nas najbardziej interesujących Go dziedzinach. Później zaczął chorować. Na uroczystości osiemdziesięciolecia Jego urodzin, zorganizowanej przez Uniwersytet Warszawski, był wyraźnie słaby, ale przyjmował nasze gratulacje i z pewnością cieszył się z uroczystości obchodzonego Jego jubileuszu. Widywaliśmy Go od tego czasu rzadziej, w końcu przestaliśmy Go widywać. Pozostanie w naszej pamięci na zawsze.

LECH SOKÓŁ

Mądry modernista

Wspomnienie o Stefanie Morawskim

MARCIN GIŻYCKI

Jego doniosły głos, wzrost, dostoyny wygląd oraz grube okulary, a także erudycja z jaką się wypowiadał, rozciągały aurę pewnej wyniosłości i niedostępności. Kto jednak miał okazję poznać bliżej Stefana Morawskiego, szybko odkrywał, że w istocie był człowiekiem przystępnym, rozmownym i bardzo ciekawym innych ludzi. Bywał też po profesorsku roztrzępany.

Pamiętam, spotkałem Go kiedyś na schodach w Instytucie Sztuki, złamanego wpół, bladego. Ewidentnie cierpiącego. Przyzwyczajony do Jego wysokiej, wyprostowanej sylwetki spytałem więc z niepokojem: *Profesorze, co się panu stało?* Pograżony w myślach wyraźnie zapomniał o swoich korzonkach czy dysku i chyba opacznie zrozumiał, że chcę się dowiedzieć, co się z Nim działo. Z roz-targnieniem więc odparł: *Ach, wróciłem właśnie z Ameryki. Było cudownie!*

Znał biegle kilka języków obcych, jeździł po świecie, wygłaszał odczyty na najbardziej prestiżowych uniwersytetach, wydawał książki w najlepszych wydawnictwach uniwersyteckich. Był niekwestionowanym międzynarodowym autorytetem, jakich w Polsce mało, w dziedzinie estetyki i sztuki współczesnej. Na pewno wiele znaczących ośrodków akademickich chętnie widziałoby Go wśród swoich wykładowców. On jednak zawsze w końcu powracał ze swoich nierzadko długich wojaży do kraju, chociaż były okresy, kiedy dawano Mu do zrozumienia, że jest tu raczej *persona non grata*.

Dopiero podczas własnych pobytów w Ameryce mogłem się w pełni przekonać, jak wielkim uznaniem i szacunkiem cieszył się na świecie, jak ciepło o Nim pisano na Zachodzie, jaką międzynarodową wagę mają Jego publikacje. Trudno sobie wyobrazić bibliotekę szanującego się college'u w USA, w której na poczesnym miejscu nie stałyby przynajmniej dwie prace Morawskiego: *Inquires into the Fundamentals of Aesthetics* (Cambridge 1974) oraz wybór pism estetycznych Marksa i Engelsa z Jego przedmową, którego był też współredaktorem (*Karl Marx, Frederick Engels on Literature & Art*, New York 1974). Ale można też często obok tych tomów znaleźć także *L'absolu et la forme: L'esthétique d'André Malraux*, (Paris 1972) oraz dzieło najnowsze *The Troubles with Postmodernism* (London 1996).

W recenzjach z tej ostatniej książki pisano o Morawskim, że należy do *najważniejszych postaci we współczesnej estetyce* (M. L. Raina, „The Tribune” 25 VIII 2002). Ta pozycja ugruntowała się jednak wcześniej. Już we wstępie do *Inquires*, zbioru esejów z lat 1961-1967, Monroe C. Beardsley nazwał jego Autora *jednym z najpłodniejszych i najbardziej dociekliwych estetyków marksistowskich*. Marksizm Morawskiego, przynajmniej po 1956 roku, daleki był jednak od ortodoksji oficjalnej ideologii. Opierał się bowiem na wierze, że jedynie w warunkach swobodnej twórczości, którą może zapewnić prawdziwa rewolucja socjalistyczna, sztuka może wypełnić jedną z trzech swoich najważniejszych, wywodzących się jeszcze z antyku funkcji: przywracania harmonii człowieka z otoczeniem (model orficki), budzenia świadomości (model prometejski) i współtworzenia ładu społecznego (model filoktejski).

Nie było w Polsce drugiego estetyka w czasach głębokiego PRL-u, który swoje teorie potrafiłby ilustrować z takim znuwaniem różnorodnymi przykładami sztuki współczesnej Zachodu. Można było zresztą mieć pewność, że jeśli o czymś pisał, to znał to albo z autopsji, albo z najlepszych możliwych źródeł. Dywagując na temat alienacji sztuki, odwoływał się nie tylko do Brechta (co bardziej oczywiste), ale też do happeningów Allana Kaprowa, filmów Jean-Luc Godarda, muzyki Johna Cage'a i Dizzy Gillespie'go czy prozy przedstawicieli *nouveau roman*.

Był nietypowym akademikiem, naprawdę ciekawym nowego. Pisał wstępy do wystaw młodych artystów, niektórych wręcz odkrywał, na przykład Mariusza Stanowskiego, którego obrazy ozdobiły *The Troubles with Postmodernism*. Przyglądał się nawet najnowszej architekturze sakralnej w Polsce.

W 1984 roku wytknąłem Mu w referacie na sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki, że przeoczył nastanie epoki postmodernizmu. Nie wiem, czy przeczytał kiedykolwiek ten tekst, niemniej już wkrótce postmodernizm stał się głównym tematem jego badań. Miał z nim kłopoty, co zresztą wyraził w tytułach kilku swoich publikacji. *Kondycja postmodernistyczna* była, Jego zdaniem, wypadko-

wą głębszego kryzysu w kulturze, zjawiska, któremu od lat poświęcał wiele uwagi. Oskarżał artystów postmoderny o antyintelektualizm. W ich predylekcyi do pastiszu i parodii widział eskapizm, ucieczkę od utopijnych aspiracji modernizmu. Nie negując, że skończyła się jakaś epoka, nie chciał godzić się na brak ładu intelektualnego, który po niej nastąpił. Jego klasyfikujący i porządkujący umysł burzył się podświadomie przeciwko teorii czyniącej sprzeczność centrum dyskursu filozoficznego.

Opowiadał kiedyś o swoim spotkaniu z Jean-François Lyotardem. *Zadawałem mu konkretne pytania, a on mi się wciąż wymigiwał* – wspominał, nie przyjmując do wiadomości, że tylko „wymigując się”, francuski filozof mógł pozostać wierny sobie. Morawski musiał być rozezany, bo polemiki były Jego żywiołem. Przed wieloma laty obserwowałem, jak z niezwykłą pasją, furią nawet, napadał w trakcie dyskusji podczas sesji poświęconej awangardom w Łodzi na profesora Tadeusza Pawłowskiego, który zresztą bronił się równie zaciekle. Nie pamiętam już nawet, co było przedmiotem kłótni szacownych uczonych, ale była to dla mnie, młodego wówczas historyka sztuki, niezwykła lekcja erytyki w najlepszym wydaniu. A także dowód, że akademickie dyskusje mogą rozpałać uczestników w nie mniejszym stopniu niż telewizyjne debaty polityków.

Morawski nie był wobec swoich oponentów małostkowy. Sam się z Nim spierałem publicznie, chociażby w recenzji z jego książki *Na zakręcie: od sztuki do po-sztuki* (Kraków 1985) dla „Literatury na świecie”. Przy całym uznaniu dla tego dzieła odważyłem się między innymi polemizować z wyłożonymi w nim czterema modelami neoawangardy (termin, który dzięki niemu zrobił w krytyce artystycznej niewątpliwą karierę). Krytyczna odpowiedź Autora pomieszczona została w tym samym numerze miesięcznika. Bałem się, że ta wymiana zdań ostudzi nasze kontakty. Ku mojemu zaskoczeniu otrzymałem jednak wkrótce od Niego propozycję przedrukowania tejże recenzji w tłumaczeniu na angielski, ale bez żadnych zmian, w „Polish Art Studies”.

W swojej ostatniej wydanej w Polsce książce, *Niewdzięczne rysowanie mapy... O postmodernie(izmie) i kryzysie kultury* (Toruń 1999), Morawski tłumaczył się nieco ze swoich polemik, składając jednocześnie wyznanie wiary: *Na koniec pora odpowiedzieć w związku z zaczepką dotyczącą mego tonu osobistego i patetycznego. Patos, być może, niechęć wkrada się dlatego, że jestem – jak to akcentowałem – pesymistą kulturowym, a nie katastrofistą, a więc (...) nie składam broni, apeluję do innych, aby nie poddali się dominującym dziś trendom jako nieuniknionemu fatum.*

Myszę, że wszyscy ci, którzy próbują znaleźć jakiś sens, jakiś drogowskaz w obecnej paranoi życia intelektualnego III Rzeczypospolitej, powinni przyjąć te słowa Mądrego Modernisty za swoją dewizę.

MARCIN GIŻYCKI